



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Uwerturą do wakacyj a finałem roku szkolnego są wszelkiego rodzaju popisy i akty uroczyste, któremi zapełnia się druga połowa Czerwca; z niemi mieszają się walne zebrania, wybory i zatwierdzanie bilansów w rozmaitych instytucjach, sprawozdania publiczne w żywym i drukowanym słowie, przegląd zbiorowej pracy stowarzyszeń i t. p.

Ogólnie biorąc, w tym roku przedstawione rezultaty w tych wszystkich kierunkach wypadły pomyślnie; zdarzały się małe wyjątki, jak np. niepowodzenia młodziutkiej spółki owocowej, ale i te złagodziła nadzieja poprawienia złego w roku przyszłym, przy wprowadzeniu do interessu jakiej specjalnej siły handlowej, któraby potrafiła pokupiecku kierować administracją i rozwijać praktyczniej działalność tego udziałowego przedsiębiorstwa.

Przywykliśmy tak jednostajnie utyskiwać na złe czasy, na zastój, na brak zarobku i zysków, że powtarzamy niemal z pewnem maniactwem: „oj, bieda, bieda“!... a tymczasem owa bieda przekłeta zmniejsza się powoli, ale stale, uchodzi od nas na bory i lasy i ustępuje miejsca dobrobytowi.

Nie jest jeszcze zupełnie dobrze, ale jest znacznie lepiej. Oto dla niewiernych Tomaszów i zawziętych Stękałłów, stają na świadectwo liczby statystyczne, zebrane ze źródeł urzędowych, a ugrupowane zajmująco w wydanym „Przeglądzie miasta Warszawy za rok 1888-ym“.

Okazuje się z niego, iż i roboty przybyło, i pracujących, i zarobku na polu przemysłowym i wytwórczym, w porównaniu z rokiem 1887-ym.

Liczy tego dowodzą.

I tak np. rzemieślników mieliśmy w Warszawie przed dwoma laty ogółem 43.378, czyli 9,7% całej

ludności miasta, a w zeszłym roku pracowało ich o 2.785 więcej.

Według dalszych wykazów i obliczeń, każdy rzemieślnik przeciętnie zarobił rs. 263 w ciągu roku po odtrąceniu kosztów materyału i narzędzi.

Nie było tedy tak krucho, jak się zdaje.

Pod względem zajęcia rzemieślniczy ogół najwięcej liczył szewców, prawie czwartą część wszystkich pracujących w warsztatach, i tyleż prawie szwaczek (10.215).

Możnaby z tego wnioskować, że na obuwie i strój szczególniej uwagę zwracamy.

Produkcya fabryczna również wzrosła; przybyło pięć fabryk, przeszło tysiąc robotników i zwiększyła się około miliona wartość wytwórcza.

W tym dziale najliczniej zajmowani są robotnicy w fabrykach maszyn i narzędzi rolniczych (3.972), następnie w fabrykach tabacznich (2.058), w zakładach ślusarskich i kowalskich (1.854) i garbarskich (1.284).

W handlu poprawiły się również stosunki, jeżeli „godna statystyce wierzyć“; świadectw i biletów handlowych wydano w roku zeszłym o 1.152 więcej, niż przed dwoma laty, natomiast drobnych przekupniów na targu ubyłoby 385.

Nie znaczy to, aby wszyscy padli ofiarą konkurencyi, albo lichwy, grasującej między straganami w okrutny sposób; przeciwnie, wielu z nich przenieść musiało się wyżej i pozakładać sobie kramiki, rozszerzając swój drobny handel osiągniętymi zyskami.

Na prowincyi trudniej przychodzi skontrolować ruch i postęp ekonomiczno-przemysłowy; jednak zawsze skarżą się ziemianie na stagnacyę w interessach, a tegoroczna susza i jej fatalne skutki powiększą tylko jereimiady rolników i gospodarzy wiejskich.

W miastach jednak, pomimo oddziaływania sąsiedzkich stosunków wsi, mogłyby się korzystniej rozwinać interessa, gdyby obok inicjatywy znaleźć można łatwiejsze środki materyalne i finan-

sowe do prowadzenia przedsiębiorstw przemysłowych i rękodzielnych.

Lichwa pożera całą pracę i zarobek drobnego rzemieślnika lub kupca; wlaższy raz w kieszeń wierzyciela, grzęźnie w niej coraz głębiej po same uszy i wydobyć się nie może.

Cóż w takich warunkach mówić o swobodzie i rozszerzeniu swoich stosunków, swego przedsiębiorstwa!...

Z broszury p. Nikodema Krakowskiego p. t.: „Nasze stowarzyszenia współdzielcze na prowincyi“, dowiadujemy się, ile dobrego dałoby się zrobić za pośrednictwem ekonomicznych spółek i instytucji ułatwiających tani kredyt mniejszym rzemieślnikom i rolnikom.

Stowarzyszeń takich wszelako, przyjmujących kapitały drobne na lokacyę i udzielających pożyczki swym uczestnikom na mały procent, znajduje się w całym Królestwie Polskiem tylko... siedm, to znaczy, że na milion ludności przypada jedno takie stowarzyszenie pożyczkowe, podczas, gdy w blizkiem nam W. Ks. Poznańskim, na dwumilionową niespełna ludność, istnieje prawie sto takich instytucji.

O ich pożytku, o wpływie korzystnym na swobodniejszy rozwój drobnego handlu i przemysłu tego rodzaju assocyacji, polegających na solidarnem poręczeniu wszystkich uczestników, nie potrzeba się rozwodzić; przemawiają za tem rezultaty z działalności kas przemysłowych w Kielcach, Lublinie, Łodzi, Łomży i Radomiu, oraz towarzystw zaliczkowo-wkładowych w Wiskitkach i Grójcu.

W przeciagu jednego roku ogólny obrót tych siedmiu naszych instytucji prowincjonalnych współdzielczych wyniósł wprawdzie tyle tylko, ile wynosi obrót kapitałów w jednej jedynej np. kasie przemysłowców poznańskich, ale w porównaniu z rokiem poprzednim liczby wykazały prawie zdwojoną sumę udzielonych pożyczek i lokowanych kapitałów.

A zatem ruszamy się i na prowincyi.

Gdybyśmy dobre i zachęcające przykłady naśladować zawsze chcieli i umieli, gdybyśmy zrozumieli zachętę w dodatnich rezultatach spółek, przedsiębiorstw udziałowych, stowarzyszeń dobrze i praktycznie wyzyskiwanych, — potrafilibyśmy jeszcze pręcej spłoszyć biedę, która się u nas usadowiła w ostatnim dziesięcioleciu i ciężko rugować się daje.

Ale, niestety, tradycja „pieczonych gołąbków“ nie wygasa u nas całkowicie, a rozumu od obcych uczymy się zawsze jeszcze powoli i drogim kosztem, czy to chodzi o wprowadzenie korzystnej reformy, czy o wyzyskanie kapitałów miejscowych, czy o założenie zyskowego przedsiębiorstwa, od którego zawsze odstrasza nas myśl o ryzyku i podjęciu inicjatywy własnymi siłami.

Ow nieszczęsny bazar rzemieślniczy, rosnący jak z kamienia, pomimo jasných jak na dłoni obliczeń zysku i powodzenia, jest najlepszą ilustracją naszego safandulstwa w dziedzinie zbiorowych przedsięwzięć na polu przemysłowym.

Skończy się na tem, że go założy jakie obce konsorcyum i pokaże nam, jakie można robić interesu małymi środkami, przy siłach złączonych.

Zebyż to jeszcze chodziło o krocie, ale cały projekt potyka się o 10.000 rs., których nie można zebrać na drodze udziałowej.

Skoro się dotąd nie zrobiło, to i na przyszłość nadzieje nie wielkie; lato nie sprzyja takim projektom: rzecz cała pójdzie w odwłokę, a jesień zasypie nas nowymi pomysłami, z których zaledwie co pięćdziesiąty do skutku dojdzie przy sprzyjających warunkach.

Zobaczmy teraz: jak się przedstawiają wyniki całorocznej działalności kilku bardziej popularnych instytucji artystycznych w Warszawie?

Jedną z najpopularniejszych jest „Lutnia“, która cieszy się stałymi względami publiczności i prasy, zasługując na to ze wszech miar, jako korporacja wzorowo zorganizowana i prowadzona od początku do swoich artystycznych celów.

Z każdym rokiem przybywa jej członków czynnych i zwyczajnych, wzrasta majątek, który w gotówce i inwentarzu wynosi już 4.606 rs. 75 kop.

W chórze, gotowym zagrzemieć jak uragan, lub oniemieć od razu na jedno skinienie dyrektorskiej pałeczki Piotra Maszyńskiego, śpiewa już dzisiaj 91 głosów męzkich, a wkrótce zapewne zaokrągli się cała setka.

Najliczniejszy zastęp lutnistów stanowią urzędnicy, następnie technicy, kupcy, prawnicy, literaci, malarze, lekarze i muzycy, tych ostatnich dziwnie mało przyjmuje czynny udział w korporacji wyłącznie muzycznej.

Jest ich tylko dziesięciu.

Członków zwyczajnych lista urosła w zeszłym roku o piątą część—co ogółem wynosi 533.

W ciągu roku własnych koncertów urządziła Lutnia cztery, piątą na benefis dyrektora, któremu najsluszniej za żmudną pracę i nieustanne trudy w kształceniu śpiewaczej drużyny, podniesiono pensyą do 750 rs. rocznie.

I tak niewiele.

Siedm razy wystąpili lutniści na cele dobroczynne bezinteresownie, czyli ogółem dwanaście razy w ciągu ubiegłego roku przedstawili się publiczności warszawskiej, przyjmowani zawsze oklaskami, słuchani najchętniej i zmuszani do licznych nadprogramowych zawsze dodatków.

Ze wzrostem sił i środków, z zestrojeniem się głosów, pójdzie zapewne w roku przyszłym w parze rozszerzenie repertoaru w poważniejszym kierunku—i usłyszymy może obok drobnych piosenek i kwartetów, wykonywanych z zadziwiająca precyzją, dzieła większej muzycznej wartości i wyższego nastroju.

Nad podniesiem artystycznego poziomu pracuje ciągle niezamordowany pan Piotr, który nie należy do tych, co na laurach zasypiają i wie, dokąd swą drużynę prowadzi.

Umie też „Lutnia“ uczcić zasługi, czyje należy. Na ostatnim walnem zgromadzeniu zamianowała swoim pierwszym członkiem honorowym czcigodnego jubilatą i sędziwego kompozytora, Oskara Kolberga.

Pięknie się ta lista honorowa rozpoczęła od takiego nazwiska.

Faktem jest popartym dowodami, iż Warszawa „muzikalnie“ w tem głębszym znaczeniu tego wyrazu; maniactwo muzyczne grasuje jeszcze epidemicznie, ale znanstwo i zamiłowanie czystsze tej pięknej sztuki wyrabia się już i w szerszej publiczności.

Powodzenie koncertów symfonicznych, wieczorów kameralnych, opery, Lutni, Towarzystwa Muzycznego, swojskich artystów, zarówno jak i obcych na estradzie, to już objawy godne zaznaczenia.

Umiemy smakować w dobrej muzyce — to postęp.

Ostatni popis uczniów naszego konserwatorium przekonwał, że chociaż nie przybywa nam na miejscu wybitnych talentów, to jednak nie brak zdolności, rokujących pożytek na przyszłość.

Talentów sztucznie wytworzyć niepodobna: spadają one niespodzianie, jak meteor; za brak ich żadna instytucja artystyczna nie może być odpowiedzialną.

Za zasługę w kierownictwie naszej poważnej szkoły muzycznej poczytać należy prawidłowy rozwój wszystkich oddziałów Instytutu, upośledzonych dawniej na korzyść klasy fortepianowej.

Jest nadzieja, że nie sami pianiści wychodzą będą z warszawskiego konserwatorium, ale że i śpiewacy, i artyści na innych instrumentach dętych i różniących powiększą zastęp muzyków wykwalifikowanych.

Dotąd, co prawda, fortepian zawsze jeszcze góruje; charakterystycznym jest stosunek uczennic do uczniów w klasie fortepianowej, w której na 47 mężczyzn ucza się... 223 kobiety.

Na naukę śpiewu solowego uczęszczało w roku zeszłym 8 mężczyzn, kobiet 30; ogółem 426 uczni płci obojga uczyło się w konserwatorium warszawskim, a z tych dyplomowanych wyszło tylko trzech mężczyzn i ośm kobiet; świadectw nauczycielskich wydano ogółem tylko czternaście.

Z tego małego procentu wnioskować należy że zarząd Instytutu i nauczyciele bardzo surowo traktują swoich elewów i nie chcą powiększać i tak licznych miernot w dziedzinie sztuki; opowiadano mi, że cenzura wypełniona samymi trójkami nie daje jeszcze uczniowi prawa do promocyi.

Przy takim stopniu klasyfikacji uzyskanie dyplomu będzie dla ucznia lub uczennicy dowodem gruntownego wykształcenia i uzdolnienia muzycznego, a może też powstrzyma zbyt pochopnych adeptów do poświęcania się sztuce wtedy, gdy się nie chce oddawać żadnemu praktycznemu zajęciu.

Po co ma wyrastać cały zastęp zapoznanych Rubinsteinów, Tausigów, Wieniawskich, Barcewiczów, którzy potem spadłszy z wymarzonej estrady koncertowej kończą na przygrywaniu do tańca w karnawale, lub do słuchu w trzeciorzędnych bawaryjkach?

Kolega Karol w „Pokłosiu“ słuszną zwrócił uwagę na potrzebę uorganizowania oddziału nauki dramatycznej w warszawskim konserwatorium, któraby przygotowywała nowe pokolenie artystów w dobrej szkole, kształcąc także śpiewaków do scenicznego zawodu.

„Przy dobrej woli — powiada on — znaleźliby się chętni i zdolni nauczyciele, uczniów takżeby nie zbrakło, a powoli możnaby uformować oddział dramatyczny konserwatorium takisam, jaki istnieje np. w Paryżu. Przyniosłoby on korzyści ogromne dla przyszłych działaczy scen naszych, dając im podstawy poprawnej metody gry i dykcyi, tak zaniebanej często nawet u wybitniejszych artystów.“

Uwaga bardzo słuszną i dobrzeby było, aby dzisiejszy zarząd zajął się wypełnieniem tej luki, zastępując przynajmniej w części szkołę dramatyczną, o której potrzebie spisano już piór nie mało.

Doroczny popis Instytutu Muzycznego odznacza się zawsze natłokiem słuchaczy, tropikalnym upałem i nieskończenie długim programem; to samo mniej więcej da się powiedzieć o popisie w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych.

Od czasu założenia go przez ks. Falkowskiego w roku 1817-ym minęło lat siedmdziesiąt i dwa, zakład miał wówczas trzech głuchoniemych uczniów

1.800 rs. funduszu na utrzymanie rektora, jego pomocnika i dwóch nauczycieli, a dzisiaj liczy wychowawców około 300, personel nauczycielski i służbowy wynosi 96 osób, warsztatów ma 13, a koszta utrzymania dochodzą do 70.000 rs. rocznie.

Rękodzielnictwo i muzyka stanowią główny program nauk udzielanych upośledzonym od natury kalekom.

Co rok zgłasza się około 80 kandydatów z prośbą o przyjęcie do zakładu, ale zaledwie trzecia część może znaleźć w nim pomieszczenie, a reszta idzie tułać się po świecie i dźwigać swoje kalectwo z rezygnacją.

Wzruszającą zawsze na takich popisach bywa chwila rozdawania patentów i nagród; te ostatnie bywają liczne i składają się z książek, z zapomogi w gotówce i z instrumentów muzycznych.

Fundusze Instytutu nie starczą na to, więc owe nagrody muszą być skromne. Gdyby się znalazł jakiś szlachetny a hojny ofiarodawca, któryby ustanowił fundacyą na nagrody dla wychowawców, opuszczających zakład, zrobiłby prawdziwie dobry uczynek i położył niemałą zasługę.

Do instytucji, mogących pochwalić się ciąglym i coraz większym rozkwitem należy też kassa pożytkowo-wkładowa artystów i officyalistów teatrów warszawskich; w ciągu siedmiu lat swego istnienia zdobyła ona fundusz sto kilkanaście tysięcy rubli wynoszący. Zeszloroczne dochody przyniosły uczestnikom 67% dywidendy, z koncertów i widowisk urządzanych na korzyść kassy. Członków liczy kassa przeszło pięciuset, ale na walne zgromadzenie przyszła zaledwie część trzecia, jak się to zwykle dzieje w naszych stowarzyszeniach.

Prezesem od początku bywa wybierany viceprezes teatrów, p. Bogumił Poland, zajmujący się ze szczególniejszą troskliwością interesami i rozwojem tej instytucji, której nie szczędzi swego poparcia i wpływów. Człowiek uczynny, chętny, pracowity, z licznymi stosunkami, oddał już wiele przysług kassie i zapewne od da ich jeszcze niemało.

Jedyny rozdźwięk w dotychczasowej harmonii tej pożytecznej instytucji, którą stworzyła przezorność i troska o zabezpieczenie sobie bytu w przyszłości, stanowiła secessya orkiestry teatralnej; członkowie jej nie chcieli bezpłatnie brać udziału w koncertach na rzecz kassy, której są uczestnikami i z której pobierają zyski, tłómacząc się, że próby za wiele zabierają im czasu, a dochód na nich przypadający nie wyrównywa strat, jakie ponoszą.

Ten brak solidarności uniemożliwił wykonanie IX-ej Symfonii Beethovena, którą dyr. Rzebiczek przygotowywał z wielką starannością przy bezinteresownym udziale chórów znacznie zwiększonych i solistów.

W końcu orkiestra dała się jakoś przekonać argumentami p. Kotarbińskiego, który jej przemówił do serca i ambicyi, przyrzekła nadal swój udział i nieporozumienia zostały usunięte.

Z tych wszystkich liczb i wykazów w sprawozdaniach całorocznych z pociechą daje się zauważyć, że się u nas na rozmaitych polach pracuje użytecznie i w danych warunkach robi, co może.

Rok bieżący zapowiadał się materyalnie lepiej od poprzedniego, ale w ostatecznym obrachunku niektóre ważne pozycje najpewniej zawiodą skutkiem nieurodzajów i małej plenności zboża wy-palonego ciągłą spieką.

Dla gospodarzy ta pogoda, zachwycająca mieszczuchów, była fatalną a słońce pokrzywdziło ich pracę i zabiegi.

Nadto z rozmaitych stron dochodzą Hiobowe wieści o pożarach, które niszczą całe miasteczka i w perzynie obracają mienie i dobytek ludzi.

Niedawno spłonął Kałuszyn w okolicy Mrozów i Mińska; ocalało zaledwie kilka murowanych budynków, reszta rozsypała się w popiół i gruz; kilka tysięcy ludzi pozbawionych dachu i chleba wygląda Bożego zmiłowania i litości bliźnich.

Zewsząd, gdzie tylko klęska pożaru się zdarzyła, powtarzają się prawie stereotypowo skargi na brak skutecznego ratunku, narzędzi do gaszenia, energicznego i umiejętnego kierownictwa, przytomności umysłu.

Popłoch, zamęt, nieporządek pogorszą jeszcze bardziej warunki ratunkowe i utrudniają opanowanie rozszalałego żywiołu, który wśród takiej posuchy znajduje wszędzie dla siebie nieoporny materiał.

Prawie zawsze przyczyną pożaru była nieostrożność ludzka i wypadek; tu rzucono zapalną między wióry, tam iskra z komina padła na dach, ówdzie przy pieczętowaniu kufy ze spirytusem za blisko trzymano świecę, albo znów niebacznie rozpalono ognisko w lesie i pozostawiono je niezgaszonym.

Krocie, krocie poszły w ten sposób z dymem.

Na zgłiszczach siada głód, rozpacz i nędza między pogorzalcami...

Jakiś zły demon zapala nie tylko dachy nad ludzką głową, ale i w same mózgi ludzkie rzuca iskry pożogi; coraz częściej słyhać o zbrodniach, morderstwach, samobójstwach. Zeszłej soboty aż cztery takie sensacyjne wypadki zdarzyły się w samej Warszawie; na Obmielnej jakaś wyrodna matka podrzuciła trupa swojej dziewczyny pod czyjąś bramę; gdzieindziej znów dorożkarz nożem przebił we śnie żonę posadzoną o wiarołomstwo i sam oddał się w ręce sprawiedliwości, robotnik jakiś przez okno wyrzucił z drugiego piętra swoją kobietę, z tychsamyh powodów, wreszcie dwóch młodych ludzi posprzeczało się przy kartach, jeden drugiemu chciał dać policzek, wymierzył raz w samą skroń i zabił go na miejscu...

Wzdryga się dusza w człowieku na wszystkie te okropności!

Gawędę dzisiejszą znowu zakończyć muszę wspomnieniem pośmiertnym o zacnym człowieku i prawym obywatelu. Zeszłego tygodnia w Podzamczu zmarł s. p. Stanisław hr. Zamoyski, właściciel dóbr maciejowickich, najmłodszy syn ordynata Stanisława, wnuk po kądzieli księcia generala ziem podolski h, a siostrzeniec ks. Adama.

Był to wzór dobrego pana i ziemianina, pojmujący doskonale, szlachetnie i wzniosłe swe obowiązki na stanowisku, jakie zajmował, prawdziwy szlachcic z rodu i z ducha, i z umysłu oświeconego.

On-to pierwszy położył u nas zasługę około rozbudzania przemysłu domowego u włościan, w dobrach swoich dawał do tego inicjatywę, zachęte i wraz z całą swą rodziną opiekował się nim po ojcowsku.

Na wystawach warszawskich podziwialiśmy niejednokrotnie wyroby włościańskie z dóbr nieboszczyka, które sam przywiózł i zalecał, świecąc dobrym przykładem dla innych.

Umarł, dźwigając siódmy krzyż, po krótkiej lecz ciężkiej chorobie.

Pozostanie po nim miejsce niezastąpione tak łatwo i pamięć godna potomka wielkiego, zasłużonego rodu!...

Quis.

KATARZYNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA SZWEDZKA.

Opowieść historyczna

skreślił

Maryan Dubiecki.

I.

(Dalszy ciąg).

Przyrodnia ich siostra Jadwiga, Margrabina Brandenburska, córka pierwszej żony Zygmunta I, Barbary, właśnie była tego rodzaju stosunkiem, do którego ścisłego utrzymywania przykładało się niemało uczucie obowiązku, może więcej, niż przywiązanie. Jadwiga oddawna zamężną była i, zdala mieszkając od Polski, nie utrzymywała z siostra-

mi przyrodniami częstej korespondencji; one jednak nie przestawały się o nią troszczyć, nie przestawały jej listami nawiedzać, w których, brzmi nie tylko zwykle siostrzane uczucie, ale serdeczność, cechująca nasze Jagiellonki, nie tylko w stosunkach z rodziną, ale i z przyjaciółmi.

Życie obu naszych Jagiellonek, Anny i Katarzyny, upływając w ciszy, stosunek przyjazny z rodziną miało jako jedyny promień jaśniejszy. Rodzina, tak przez nie ukochana, wciąż była w rozproszeniu; jak wiemy, listowne stosunki za wszystko starczyły: pisano przeto wiele do nieobecnych a dalekich. Nie tylko siostry zwyczajnie posiadały, lecz niemniej i brat, Zygmunt Aug., chętnie listowną prowadził rozmowę z siostrami nieobecnymi. W listach królewicza pospolicie mówi się o sprawach potocznych prawie wyłącznie, w królewskich zaś listach obok spraw pierwszorzędnych, niekiedy zarysowują się i rzeczy domowe, rodzinne.

Takim jest list Zygmunta Aug. do siostry Zofii Księżny Brunszwickiej z d. 13 Czerwca 1562 r., w którym porusza, ale już nie poraz pierwszy, sprawę starania się królewiczów szwedzkich o obie siostry jeszcze niezamężne. Źródłem projektów tych była myśl królewicza szwedzkiego, Jana, poddana mu przez posługującego do Szwecyi Jana z Tęczyna, starania się o młodą Jagiellonkę—Katarzynę; że jednak Zygm. August nie chciał, by młodszą uprzedziła w zamęciu starszą siostrę, Annę—(zdaje się, iż przepisy dworskiej etykiety, czy też obyczaj tego wymagał)—otoż królewicz Jan, wówczas dzierżący prawem lennem Księztwo Finlandzkie, namawiał młodszego znacznie od siebie brata, Magnusa—młodziutkie ksiąźką Ostrogockie, aby się żenił z Anną, wówczas czterdziestoletnią. Magnus zgadzał się; czy szczerze—nie wiemy. Wobec tak postawionej kwestyi, gdy starsza miała zapewnionego starającego się, młodszą, chociaż wcale już nie młodą, Katarzynę—mogła wychodzić za mąż.

Obaj konkurenci dość mile u króla byli widziani. ...Jakośmy przedtem do was pisali—donosi Zygm. August w liście do K. Zofii—ksiąźka żądają królewicza Ich M., sióstr naszych w stałość małżeńską, tak i teraz są na tem, aby sami osobami swemi do nas dlatego przyjechali... Spodziewano się więc obu konkurentów w Polsce. Król wyraźnie w wyżej przytoczonym liście, zaznacza swe zgodzenie się: „my im nie odmawiamy”—mówi on—ale, poza tem zezwoleniem, prześwieca zdziwienie, iż najbliższy z konkurentów, brat ich przygodni, Eryk, Król Szwedzki, łączy się z nieprzyjaciółmi Państwa Zygmuntowego.

Eryk, w istocie, człowiek dziwny, zagadkowy; coś w nim było z szaleńca, a coś z tyrauna. Dziwna mieszanina pojęć, uczuć—składała się na wytworzenie duchowej strony tego człowieka. Przedewszystkiem to szalenie, który miał władzę w rękę i z niej w całej pełni korzystał, rządząc się wszakże jedynie przywidzeniami i dzikimi instynktami. Usposobienie chorobliwe Eryka w Polsce znanem nie było, przytem zaś ks. Jan oddzielną posiadał dzielnicę—Finlandyę; nie przypuszczano przeto, aby Eryka wyskoki wpłynąć miały na losy tej, która oddawała swą rękę Janowi. Eryka zboczenia umysłowe nie występowały z początku z całą jaskrawością, a zresztą zaliczały się do rzędu owych objawów, które niekiedy umięją wybornie maskować się, aby później wybuchnąć z tem większą mocą.

Po kilku miesiącach różnych przejść w owej swadziebnej sprawie, zamiast dwóch starających się, widzimy trzech—tym nowym, był ksiąź Holzacyi, któremu wszakże Zygmunt August daje rekuze, licząc snadź na szwedzkich królewiczów—a wreszcie już jest jeden tylko Jan, Ksiąź Finlandzki. Magnus z widowni rokowań swadziebnych ustępuje stanowczo, i już go odtąd wcale w tej roli nie widzimy.

Ustąpienie Magnusa różnie było tłumaczonem. Jan ułatwił mu nawet podróż do Polski, bo sam przybywszy na polskie Pomorze do Gdańska, odesłał swój okręt, aby Magnus owym zwróconym statkiem co prędzej przybywał. Jan czekał na młodszego brata; czekał miesiąc, dwa, trzy, cztery—Magnus nie przybywał. Wreszcie Janowi do Gdańska napisał, iż się obawia nieporozumień,

zawikłań,—gdyż brat najstarszy, głowa rodziny, król Eryk, żle na to patrzy. Stosunek Magnusa był w istocie nader zależnym. Książętko to było młodociane, a węzły lennej zależności krępowały go na każdym kroku wobec króla Eryka, który, chociaż przed kilku miesiącami sam się wstawiał za braćmi do Zyg. Augusta, w charakterze dziewosłaba, obecnie przecież nieprzyjaźnie zaczął się zachowywać w stosunku do Rzplitej. Były inne pogłoski: mniemali niektórzy, iż wiek Anny Jagiellonki tak mocno odstraszał Magnusa, iż się wcale na pobrzeżu gdańskim nie pokazał.

Kilkomiesięczne, bezczynne napozór i bezcelowe, przesiadywanie księcia Jana w Gdańsku rozszerzyło nieuzasadnione mniemanie po całej Koronie i Litwie o wychodzeniu za mąż królowej Katarzyny, co stawało się wreszcie przykrem dla obu stron. Tworzyły się przytem i mylne wieści, iż królewicz Jan dostał odkosza. Potrzeba było kres tej pozycji położyć i zamknąć usta niechętnym dla królewicza szwedzkiego pogłoskom. Obowiązek ten tembardziej na barkach Zygmunta Augusta spoczywał, iż miał on z Janem rachunki pieniężne i zobowiązania wobec niego zaciągnięte. Ksiąź Jan w gruncie rzeczy czasu nie tracił, gdyż prowadził tajemne rokowania z Zyg. Augustem, bo oprócz spraw swadziebnych posiadał w zanadru plany polityczne.

I rzeczywiście Zygmunt August stanowczym krokiem ów węzeł niepewności i wyczekiwań rozciął; względy powyżej wskazane, poczęści zaś rady i namowy senatorów, wpłynęły na postanowienie królewskie.

Pospolicie godzina wieczorna, poprzedzająca wieczerzę, była chwilą, gdy król odwiedzał siostry. Otóż, w pewien sierpniowy wieczór (1562 r.), wszedł do izby królowien i widząc, że Anna, idąc za zwykłym swym popędem szlachetności, zrzeka się prawa starszeństwa w wychodzeniu zamąż, zapytał Katarzynę: czy ma wolę oddania swej ręki Księżciu Finlandzkiemu, Janowi? Katarzyna, wobec kwestyi postawionej tak jasno, i stanowczo—zawahała się—krok stanowczy przerażał ją. Tłómaczyła się ze drżeniem w głosie, iż stosunki obecne zadawalniają ją najzupełniej, iż pragnie nazawsze pozostać w stanie panieńskim...

To ostatnie wyznanie znadź uderzało upelną sprzecznością z tem wszystkiem, co siostry z sobą o tych projektach mówiły, gdyż Anna zawołała: — A wszakże przedemną przyzwoliła, a cóż po inszej mowie teraz?..

Kochające serce Anny pragnęło w ten sposób przyspieszyć rozwiązanie swadziebnej kwestyi, mniemając, że wyjszcie zamąż otwiera dobę pomysłowości dla Katarzyny. Zwracając się więc śpiesznie do króla, dodała:

— Przyzwoliła, M. królu, nie racz W. Kr. Mość więcej pytać... (4).

Tak się odbyła cicha scena rodzinna w ustronnej komnacie wileńskiego zamku, której-to sceny następstwa na długie lata zawisły później nad Polską. Związek małżeński Katarzyny Jagiel. spowodował z czasem powołanie na tron opróżniony po Jagiellonach Zygmunta Wazy i wreszcie rządu u nas trzech z kolei Wazów. Pewien konserwatyzm dynastyczny przejawiał się w tym kroku powoływania na tron członków jednej rodziny, chociaż drogą elekcji, nie ginęła bowiem w ciągu całego prawie stulecia pamięć, iż matką, babką tych Wazów była córka i siostra naszych Jagiellonów—królowa Katarzyna.

Skoro tajemna rozmowa Zygmunta Aug. z siostrami stanowczo przychyliła szalę swadziebnych rokowań na stronę Księcia Jana, zawrzał zamek wileński gwarem przygotowań weselnych. Król podążył osobiście na spotkanie przybywającego królewicza szwedzkiego. Królewicz, a wówczas, jak wiemy, udzielnie prawie rządzący w Finlandyi książętko, w Kownie miał króla powitać. Król dążył na spotkanie nie nader śpiesznie. W Poniedziałek (d. 7 Września) opuścił

(4) Ł. Górnicki: *Dzieje w Koronie Polskiej*. Wyd. Mostowskiego.

Wilno, i po dwóch noclegach, w Wyrwie i w Żyżmorach, dopiero 9 Września, we Środę, a więc po tygodniowej podróży, stanął w Kownie, zajmując gospodą kamienicę w rynku. Powitanie królewicza odbyło się za miastem, za nadbrzeżnych Wilii łąkach. Gospodę dla zamorskiego gościa przygotowano w oddzielnej kamienicy, ozdobiony jej izby kosztownie, wspaniale a z gustem (5).

Powitanie pełne przepychu, z nieodzowną przytem mową powitalną, łacińską, którą wygłosił X. podkanclerzy, Myszkowski, a odpowiadał, również po łacinie, Książę Finlandzki, wskazując, iż poza projektami małżeństwa inne jeszcze istniały kombinacje polityczne, nakazujące podnosić powagę owego książątka ubogiej i dalekiej ziemi finlandzkiej. Przymierze z nim ściśle odpowiadało kombinacyom polityki królewskiej, która pragnęła sztandar Rzplitej wzniesić na wodach Bałtyku, i zapewnić dla siebie Inflanty. Wiadomo zresztą, iż Książę Jan pożyczał pieniędzy królowi, co również czynione było gwoli pewnym politycznym względom: spodziewano się wzajemnych ustępstw i pomocy. Książę Jan marzył o niepodległości swego państewka w stosunku do Szwecyi, lub też o szwedzkiej koronie, a myśl Zygm. Augusta zwracała się chętnie ku flocie na Bałtyku, ku utrwaleniu się w Rydzie i posiadaniu Rewla, wraz z całą Estonią, co stanowczo zamknęłoby drogę innym, dążącym wytrwale do Bałtyku.

Górnicki, mówiąc o sprawie małżeństwa Katarzyny, nie zaniedbał włożyć w usta głoszącego w radzie królewskiej za owym projektem, Myszkowskiego wyrazów nader pochlebnych dla tej swadziebnej sprawy: „Może i do tego przyjsz — mówił Myszkowski, — że na morzu będą polskie okręty, a zatem pruska ziemia i miasta nad morze w kleszcze-by ujęte były, a król duński ciszej-by siedział, niż teraz siedzi“... Wierna rada królewska nie poprzestawała na względach politycznych, któremi chciano utorować drogę do skłonienia myśli królewskiej ku rzeczonym zamiarom, ale podnoszono i inne dodatnie strony projektu. — „Tem fortunniejszą będzie królewna, niż inne jej siostry — mówił tenże Myszkowski — iż pójdzie za tego kogo widzi; one za tych iść musiały, którym się przypatrzeć nie mogły“... (6).

Ostatni wzgląd trafiał do przekonania Zygm. Augusta bardziej niż inne, gdyż on szczerze przywiązany był do sióstr, chętnie przeto ucho dawał projektom wróżącym pomyślność dla osamotnionych kobiet, szukających jego opiekuńczej dłoni.

Zjazd króla z księciem Janem w Kownie, jeśli ostatecznie nie rozwiązał, to przyspieszył rozwiązanie kwestyi małżeństwa Katarzyny Jagiellonki. Od dni zjazdu kowieńskiego wzmagać się zaczęły przygotowania weselne, które na zamku wileńskim prowadzono. Wyprawę przygotowywano wspaniałą i snadź dawnym obyczajem była ona znacznie wcześniej, w głównych zarysach przynajmniej, wykończoną, gdyż w dniach dwudziestu dwóch, czy też trzech zaledwie, które upłynęły od zjazdu kowieńskiego do dnia godów weselnych, niepodobna było przygotować tak obfitej, stosownie obmyślanej wyprawy, jaką była wyprawa królewny Katarzyny.

Szwedzki królewicz, po zbyt długim gdańskim pobycie, nie mógł przedłużyć bawienia swego w Polsce. Powrót stawał się nagłym z wielu względów: wojna ze wschodnim sąsiadem była do przewidzenia, prawie dotykalnie uczuć się dawała w atmosferze ówczesnych politycznych stosunków; zbliżająca się zaś zima groziła przerwaniem zupełnym na pewien czas żeglugi. Codziennie można się było spodziewać zamarznienia pobraży Bałtyku, którego fala jedynym bezpiecznym gościńcem mieni się mogła dla jadących do Finlandyi. Spodziewane lada chwila burze i lody na Fińskiej Zatoce przeczynały ów gościniec.

Wszystkie te względy zniewalały do szybkiego powrotu; ślub królewny przyspieszano. Odbył

się on miał w pierwszą październikową Niedzielę, w dniu św. Franciszka — i rzeczywiście odbył się w owym dniu.

Ostateczna decyzja w tej sprawie, jak mówią niektóre źródła, zapadła dopiero po powrocie króla z Kowna. Wówczas to miał się rozmówić Zygm. August z siostrami i przychylić szalę rokowań na stronę Księcia Finlandzkiego. Dano mu znać, aby z Kowna przybywał do Wilna i naznaczono dzień ślubu, jak wskazaliśmy, na dzień 4 Października, 1562 r.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYSTAWA PRACY KOBIECJ w Muzeum Przemysłowo-Rolniczem.

(Dokończenie).

Poza wystawczynią typów ubrania ludowego z okolic kowieńskich, prowincya nie nadesłała działowi pedagogicznemu ani jednego okazu. Za obojętność — za leniwą niedbałość uważać to było by rzeczą zbyt przykrą i lepiej widzieć w tem skromność, która się z pracą, uważaną jako obowiązkiem, popisywać nie chce. Ale powinno się na te rzeczy z innego, wyższego punktu zapatrywać. Jak żołnierze na dany odzew do apelu stają, tak tym, którzy na polu użyteczności publicznej pracują, należy się w podobnej okoliczności w gromadzie zebrać, aby mógł się wytworzyć dokładny obraz owej pracy, wobec czego występuje na plan pierwszy nie samochwalstwo jednostki, ale interes ogółu, więc rzecz o wiele wyższa niż nasza miłość własna, o której w takiej chwili godzi się nie pamiętać. Zdanie ludzi kompetentnych o naszej pracy usłyszeć, usiłowania nasze z pracą innych porównać, to nieraz znaczy jak kolumbowe odkrycie uczynić — nieznaną nam świat ujrzeć. Wystawy w tym celu się urządzają — w tym celu trują się nad niemi ludzie dobrej woli obywatelskiej, co powinno się rozumieć i z wyższego stanowiska, niż nasza osobista miłość własna, sądzić udział nasz w przedsięwzięciu.

Wielkim niedoborem wystawy jest brak na niej zupełny ochron prowincjonalnych. Jak wystąpiła warszawska Szkołka Towarzystwa Dobroczynności, jak wystąpiły ochrony i szwalnie ubogich dziewcząt, tak powinny tu być stanąć do szeregu ochrony i szwalnie takie z miast, miasteczek i wsi, choćby tylko parafialnych. Że najwyższa sympatya była im, zwłaszcza ochronom wiejskim, ze strony publiczności z góry zapewniona, ręczyć można. Działa tu instynktownie poczucie ważności przedmiotu — to poczucie, które się stale i na wszystkich wystawach objawia w obec wyrobów ludowych szczególną ciekawością i zajęciem najczelniejszem, a wskazówka to jest i wskazówka niemałego znaczenia. Miasta to niewątpliwie ogniska inteligencji i wielkiego przemysłu, ale wieś to kraj, rdzeń jego, i można powiedzieć, że tam jest główna praca organiczna, u nas przynajmniej, bo jakież są liczby zesumowanej ludności miast a wsi? Stawienie się na wystawie ochron wiejskich w komplecie, jak to uczyniły warszawskie ochrony i szwalnie dziewcząt ubogich — jakizby to był w wysokim stopniu zajmujący obraz usiłowań w tym kierunku czynionych i owoców, które przynoszą!

Należało to do obowiązków miejscowej inteligencji kobiecej i byłaby to innego rodzaju pocieszająca wystawa usposobień i uczuć kobiety. Pani, a szczególnie — szczególnie już panienska ze dworu, powinna była poczuć się do powinności, przypadającej tradycyjnie na jej dział, i szukano też tego, oglądano się za tem — nadaremnie!

Odzywały się między zwiedzającą publicznością głosy smutne, że może tego wszystkiego — tych usiłowań dobroczynnych, które podejmują kobiety

warszawskie na wsi zgoła niema? Nie chcę przecie temu wierzyć. Brak ten byłby tak smutnem świadectwem stanu rzeczy, że — nie chcę weń wierzyć...

Tak dawno i tak głośno upomina się głos publiczny o takie dla dzieci wiejskich zakłady: ochronki, szwalnie, że, powtarzam, nie chcę wierzyć, aby ich nie było, zwłaszcza, że koszt największy jest tu w nakładzie dobroci serca i rozumu, który swój czas i jego warunki pojmuwać umie. Tym, którzy się przy tem upierają, że się myślę, odpowiadam, że są pesymistami, którzy zwątpili o sercu kobiety naszej i posadzają ją, iż zbiegła z tego pola obowiązku, na którym stojąc doświadczyła sobie przed światem wysokie uznanie i szacunek. Heine sztychł do pewnego stopnia, gdy pisał: — „Teraz zdejmuję kapelusz, bo mam mówić o kobiecie polskiej“... daj nam przecież Boże, aby sztychł z nas zawsze w ten sposób.

Wielką szkodą dla pożytku, który wystawy przynosić-by mogły, jest do pewnego stopnia rozpowszechnione mniemanie, że ukazywać się na nich mogą jedynie jakieś szczególności wytworne. Naturalnie, nie godzi się zarzucać wystaw pierwszą lepszą robotką miernej wartości bez celu i znaczenia dla ogólnej produkcji, ale wszystko, co pracuje dla pożytku nie tylko własnej osoby, każda instytucja taka, każda jednostka, która w jakiegokolwiek gałęzi pracy wspomaga dobrze pracowity ruch kraju i dorzuca tu coś, co do materialnego lub duchowego dobrobytu społeczeństwa jakimkolwiek przyczynkiem być może, ma prawo a poniekąd obowiązek wystąpić. Wszystko to, co przeciw złemu przykładowi, poczynając od słów Ewangelisty, groźbą i karą występuje, wszystko to za dobrym przykładem przemawia. Nie chowa się światła pod korzec i za obywatelski obowiązek to uważam do wystaw się nie cofać i nie tylko jakieś arcydzieła, jakieś rzeczy osobliwe przedstawiać. Ani społeczeństwa, ani jednostki takimi rzeczami nie stoją i taki punkt widzenia odbiera właśnie wielu wystawom ten charakter poważny, któryby budził dla nich i interes, poważny również.

Wystawie zarzucono ogólnie, że jest głównie zbytkową, co do pewnego stopnia było prawdą z tej właśnie przyczyny. Pracy skromnej, która jest podstawową w bycie rodzin, nie przedstawiono prawie, z tej zapewne przyczyny, że ją uważano za rzecz zwyczajną i posledniejszego znaczenia, a przecież nie ciastkami, ale chlebem żyje człowiek. Z powodu wystawy można przypomnieć to kobiecie naszej, a jest to już wystawy korzyścią niemałą.

Dlatego należy uważać Wystawę za rzecz poważnego znaczenia dla rozwoju pracy kobiecej. Ze zdań i sądów, które o niej wydawano, z pokupności pewnych przedmiotów, może sobie pracująca wytworzyć przypuszczalne choć pojęcie o kierunkach więcej lub mniej dla niej właściwych. Obok tego społeczeństwo dowiedziało się też coś o siłach i stopniu natężenia pracowitości kobiety naszej — o jej skłonnościach i postępkach na tej drodze. Za to wszystko: za ekonomiczne i moralne pożytki wystawy, których bynajmniej nie nisko szacuję, należy się wdzięczność pożytecznej instytucji Muzeum Przemysłowo-Rolniczego i hr. Józefowi Krasińskiemu, który jako prezes wystawy przykładał bardzo pracowicie do jej urządzenia myśl i rękę.

M. Ilnicka.

BŁĘDNA ŚCIEŻKA.

Szkic powieściowy M. WOŁOWSKIEGO.

Walka podobno wytwarza życie, — spokój jest synonimem śmierci. Czy zdanie to jest paradoxem, czy też stwierdza prawdę rzeczywistości, decydować nie myślę, wiem tylko, że widziałem śmierć wielu walczących i życie spokojnej większości.

(5) Relacja o przyjęciu księcia Finlandz. (z arch. Wolfenbütelerskiego wydobyl Al. Przędziński).

(6) E. Górnicki: Dzieje w Koronie Polskiej.

Ta większość, pospolita, tuzinkowa, niegodna, doprawdy, uwagi — i nie o niej też mówić pragnę.

W życiu jednak niezawsze na apoteozę zasługują ci gladiatorowie walczący, którzy przed śmiercią wołają: „*Ave Caesar, morituri te salutant*“.

Zależy to od rodzaju walki.

Życie jednego z takich gladiatorów, to treść niniejszego obrazka; oszczędźcie sami, oile ono zasługuje na poważny pokłon, lub na zapomnienie. Bohaterem jej jest jedno z tych piskląt młodych które same szybować musiały w niebiosa, bez nauki z przeszłości, bez wskazówek na jutro.

Znalazły się one niby w ciemnościach, ginęły marnie, albo walcząc, jak Don Kichot z wiatrakami, albo szukając nowych dróg, które najczęściej błędniemi były.

Młody Rafał Rajewski, dziedzic głośnego niegdys w Rzplitej imienia, przy początku swojego życia nazywany był młodzieńcem nadziei wielkich, zdolności niepospolitych, a jako obdarzony temi wszystkimi warunkami, jakie zwykłym ludziom zabezpieczają przyszłość, mógł być, gdyby chciał, spokojnie w nią spoglądać.

Kończył gimnazjum wesoły, uśmiechnięty, pewny siebie, ufny, iż wynajdzie ów punkt podpory dla słupa, którym świat zatrzyma, że zwalczy „Centaury i łeb urwie Hydrze“.

Z gorączką niezwykłą, po pożegnaniu się z kolegami, pakował swe rzeczy, przygotowując się do drogi na wieś.

Czekały go tam z upragnieniem: matka, dwie siostry, służba cała wreszcie, której łaskami niepospolitemi się cieszył.

Ale i jemu snadzł śpieszyło się bardzo.

W układaniu rzeczy do olbrzymiego kufra nie zadawał sobie żadnych trudności: leciało tam wszystko weń bez ładu i porządku — bielizna, książki, tworząc chaos iście biblijny.

W ten sposób szybko bardzo do drogi był gotów.

Zaprzątnięty myślami, nie zwracał nawet uwagi na to, z jak oryginalnem zajęciem tej jego czynności przyglądały się dwie istoty: jeden chłopiec równie jak on młody i jedna dziewczyna od niego znacznie młodsza.

Chłopiec był jego kolegą; nazywał się poprostu Szydlik, co starczyło za jego wieśniaczy rodowód; dziewczę nosiło imię Jadzia i była córką gospodyni domu, u której Rafał mieszkał przez cały czas swego bytu w gimnazjum.

Zastał ją dzieckiem jeszcze, pożegnać miał dorosłą panną. Szydlik patrząc na gorączkową czynność kolegi i przyjaciela, łagodnie się uśmiechał; Jadzia była jakoś bardzo poważną i smutną.

Ukończywszy pakowanie, zatrzasnąwszy szybko wieko kufra, Rafał odwrócił się ku drzwiom, chcąc wydać polecenie furmanowi, aby zajeżdżał, i wtedy dopiero spostrzegł dwie te postacie.

Na przyjaciela zatrzymał zaledwie przelotnie wzrok, dłuższem natomiast spojrzeniem udarował pannę Jadwigę, która także szukała ócz jego.

Poeta, patrząc na to krzyżowanie się spojrzeń, młodego, przystojnego chłopca i ładnego dziewczęcia, mógłby powiedzieć, że stoją nad morzem, po którym chcieliby pływać, jak w łódce o złotych skrzydłach pływają anieli; zwykły zaś obserwator odgadłby tylko, iż między temi dwiema istotami istnieje jakaś żywa nie serdeczna, którą bardzo trudno będzie zerwać im obojgu.

— Panna Jadwiga tutaj? — zawołał powoli, skandując sylaby, Rafał.

— A cóż! nie przyszła góra do Mahometa, musiał przyjść Mahomet do góry.

— Jak to? pani przypuszczać mogłaś, że ja, wyjeżdżając od was, nie pożegnania się z wami?

— Takiś pan był zajęty w dniach ostatnich, tak zupełnie nie nasz, że myślałam — odparła panna Jadwiga, spuszczać ku ziemi oczy i nie kończąc rozpoczętego frazesu.

— A, pani! to się nie godzi — podchwycił Rafał — Gdyby nie to, że wyjeżdżam, gotów byłbym na panią się pogniwać.

— Ale wyjeżdża — dorzucił Szydlik przekonywającym tonem, w którym tkwiła spora doza ironii — a więc pożegnaj go pani i daj mu dobre słowo na

drogę, bo kto wie, kiedy tam jeszcze spotkacie się w życiu.

— Ach nie bądź pan złym prorokiem — błagalnie zawołała Jadzia.

— To już taka jego natura, że wszystkiego szydzić — zawołał z impetem Rajewski, — ale bądź pani spokojną, życie nauczy go czego innego; niech tylko zblizka dotknie się pocziwych instynktów, dobrych serc, uczciwych kierunków, to zginie w nim ten sarkazm, — przestanie nam dokuczać. Teraz zabieram go ze sobą, potem starać się będę, abyśmy się nigdy nie rozstawali; nawrócę go na wiarę moich ideałów; wierz mi pani. A teraz idźmy pożegnać się z mamą. Ty idziesz z nami? — zakończył, zwracając się do Szydlika.

— Już się pożegnałem — odparł zapytany, a gdy Rafał i Jadzia zniknęli mu z przed oczów, szepnął do siebie tylko jedno słowo: „dzieci!“

Jakie tam było pożegnanie z matką Jadzi i Jadzią samą, opowiadać nie będę.

Były łyzy, uściski, zapewnienia pamięci dozgonnej, odwiedzin częstych, — naturalnie, tylko między matką Jadzi i Rafałem. Jadzi w udziale tylko łyzy się dostały.

Młodzi wśród tych pożegnań na chwilkę zostali sami.

— Więc pan już jedzie — szepnęła ona, ale tak niezrozumiale i tak cicho, że Rafał słowa te odgadł raczej sercem, aniżeli usłyszał — więc już się nie zobaczymy — ciągnęła dalej nieco głośniejszą Jadzią — pan zapomnisz o nas zupełnie.

— O! panno Jadwigo, ja chwil z panią, z wami spędzonych, nie zapomnę nigdy.

— O! i ja ich nie zapomnę — zawołała z zapalem Jadzia.

— A widzisz pani: i ja miałabym być gorszym od ciebie!

— Nie, ja nawet tego nie przypuszczam, ale pan wychodzisz w świat, czekają cię wielkie obowiązki, wielkie zajęcia; bo też wierzyć mi się nie chce, abyś mógł i chciał pamiętać o tych, którzy... polubili cię tak bardzo.

Jadzia znów te kilka ostatnich wyrazów wymówiła prawie szepem, ale znaczenie ich głębsze widocznie zrozumiał Rajewski, bo twarz rozpromieniła mu się radośnie, w oczach ogień młodzieńczy zabłysnął i w tejże chwili, jakby ulegając wpływowi silniejszym nad jego wolę, szybko się ku Jadzi posunął, za rękę ją chwycił i zawołał:

— O, panno Jadwigo! a jaż do was nie przylgnąłem? może serce nie wasze? możnaż tyle lat mieszkać z wami pod jednym dachem, patrzeć na wasze pocziwe serca, doznawać łaski — i nie kochać was duszą całą? O, bądź pani spokojną, obowiązki życia nie wymażą was z pamięci mojej, a skoro mi tylko choćby jedna wolna chwilka od nich zostanie, do was i ku wam śpieszyć będę.

— Ja i tyle nawet nie żądam: pamięci trochę, pamięci, nie wtedy, gdy szczęśliwym będziesz, panie Rafale, ale wtedy, gdy ci życie dokuczy, ludzie zawiodą i gdy w koło siebie czuć będziesz pustkę.

— Pamiętaj — proszę, że tutaj są serca, które o tobie myślą, myśleć nie przestaną nigdy i które, gdyby tylko od nich zależało, usunęłyby kosztem własnych bólów z twej drogi wszystkie przykrości życia.

Rozmowa dwojga młodych ludzi wchodziła na ton coraz żywszy, coraz cieplejszy, i kto wie, czy nie byłaby się zamieniła w gorące wyznanie, bo i Rafał i Jadzia coraz wymowniej się stawali, gdyby nie zjawienie się matki z jednej strony, a furmana donoszącego, iż konie przed domem czekają — z drugiej.

Trzeba się było pożegnać ostatecznie; uścisk dłoni był ostatnim wyrazem tego pożegnania.

Rafał wybiegł szybko z pokoju na ganek. Tutaj stanąłszy, obejrzał się naokół i spostrzegł Szydlika z tobołkiem na plecach.

— No, siadaj — zawołał Rafał.

— Dziękuję ci, pójdę na własnych biegunach.

— Oszalałeś, Wólka graniczy przecież z Zieloną, zostaniesz u mnie dni parę, pójdiesz do swoich. Mama, a szczególnie Andzia, nie darowałyby mi nigdy gdybym ciebie nie przywiózł, zresztą ja nie mam zamiaru z tobą się kiedy w życiu rozstawać; wędrowaliśmy dotąd razem: pójdźmy i dalej.

— O, nie! — ozwał się uśmiechając Szydlik — życie nasze rozpleść się musi; ty inne a ja inne mamy cele; każdego z nas inna droga czeka, zaczynając już choćby od dziś, ja idę, bracie, piechotą ty jedziesz. O Zieloną zawadzę, matce twojej się pokłonię, siostrom pozdrowienie zaniosę, ale to nie mój świat. Urodziłem się w kurnej chacie i dla niej mam obowiązki tak, jak ty masz dla twojego salonu. Ta część świata, która się chatą nazywa, to nowa siła w przyszłości do życia, ale wśród niej trzeba krzesać ogień święty, a tem krzesiwem ja będę.

Słowa w tym tonie poważnym, głębokim, zdziwiły Rafała.

Długoletni jego towarzysz i przyjaciel po raz pierwszy tak się odzywał, po raz pierwszy tak jasno określał programat swojej pracy w przyszłości; Rafał nie mógł tego zrozumieć, czy nie umiał, i w żart słowa poważne obrócił.

— Zdaje się, że komuś wysunęła się piąta kleпка z mózgowicy, gdy mając konie, chce piechotą kilka mil wędrować.

— Zaczynam iść po mojej drodze.

— Ależ to bzik wyrażny: zaczynać apostołstwo od pięć-milowej pieszej wędrowki! Ciekawym co może na tem zyskać ta twoja chata, że ci parę dziur w podeszwach przybędzie? — Ależ pan sobie wybij z głowy to szaleństwo, pan absolutnie musisz ze mną jechać! jabym się w drodze zanudził.

— Jeśli myślisz, że zechcę przy tobie podjąć się roli nadwornego trefnisa, to się grubo myślisz — odparł spokojnie Szydlik, ale mówić już dalej nie mógł, bo mu Rafał rzucił się na szyję, zaczął go ścisnąć, całować i zaklinać na wszystko aby go nie opuszczał, aby z nim jechał koniecznie. Szydlik jednak widocznie i w drobnostkach był nieugięty, uparł się i pomimo wszystkich wysiłków Rafała, obrazy jego w końcu, pożegnawszy się krótkim „do widzenia“ ruszył w swoją drogę.

To doprowadziło do passyi Rafała: rzucił się z gniewu zniecierpliwiony i wskoczył na bryczkę, „Ruszać“ wołając do furmana.

Konie popędziły żwawo, Rafał nie oglądał się za siebie i zniknął w tumanach kurzu z przed oczów stojących na ganku Jadzi z matką oraz idącego piechotą Szydlika.

Tym razem przyznać należy jednak, że nie oglądał się dlatego tylko za sobą, że wstyd go było łąz, które wbrew jego woli wykradały się spod powiek na policzki. Przejechał miasto, minął idącego pieszo Szydlika, a gdy się znalazł na świeżem powietrzu, na drodze wiodącej już do rodzinnej wioski, tęsknota minęła, począł rozpamiętywać wypadki dnia ostatniego, wielkiego dlań, gdyż w nim został „dojrzałym“.

— Oho! mrucała sam do siebie, powrócę ja tu do was niedługo, zaglądać będę często; Jadzi nie zapomnę nigdy, póki życia... Jaka to dobra, jaka pocziwa, dziewczyna! Czemu ja jej nie powiedziałem, że ją kocham?... No, tak, bo ją kocham... bardzo kocham! Ale cóż mówić teraz o tem, co jeszcze takie dalekie w przyszłości? Kto wie, czy ona mnie kochać będzie, czy umie być wytrwałą, a choć jest aniołem, toć przecież i anioł może się zmienić... ..

— To ostateczne przypuszczenie możliwości zmiany ze strony Jadzi zabolalo go; począł więc odganiać od siebie tę myśl nieprzyjemną, i minęła chwilka, a byłby się już pozwolił w drobne porząbkawki za to, że Jadzia niezmienną zostanę do grobowej deski, że pamiętać będzie o nim wiecznie, że on w niedalekiej przyszłości, skoro się tylko po świecie rozejrzy, swój byt i stanowisko utrwali, zjawi się tutaj, aniola tego zabierze, szczęście dla niego na ziemi stworzy i sam w niem duszą całą utonie.

To ostateczne marzenie sprawiło, iż jednym tchem zapragnął stanąć w domu, zobaczyć co się tam dzieje, pochwalić się rezultatem swej pracy, matkę uściskać, upieścić siostry, zajrzeć do gospodarstwa i w pole, — aby z czasem stać się prawdziwym obywatelem tego kraju, o którego przyszłości tak szeroko dyskutował z kolegami na pożegnalnej uczcie.

— Osiądę sobie tedy, — myślał, — na Zielonej, Mielnowej i Tyszkowicach, Anielkę i Józję wy-

posażę, mama przy mnie mieszkać będzie i rozpocznie się praca.... Trzeba najpierw rozejrzeć się wśród obywatelstwa, sąsiadów, zbadać umysł i grunt, ducha podnieść, serca ku wyższemu zapalić celom, miłość ku społeczeństwu spotęgować, a skoro tylko tego dopnę, świat zaraz się odmieni. Oni tam na wsi zaśnieździeli zupełnie... „Chleba i chleba—wołają, szukają i marnieją przez to...“ O celach wyższych nikt im nie mówił, nikt ich nie uczył, czyż można się dziwić, że są takimi, jakimi są...—Rafał podobny był do setek tysięcy poczciwych marzycieli, jakich u nas mnóstwo znaleźć można. Marzenia jego własne wydały mu się już w tej chwili rzeczywistością; oczy przymknął i widział już inny świat wokoło siebie, wierzył, że to dzieło rąk jego, skutek jego własnej pracy. A gdy Wojciech, przy akompaniamencie wesolego parskania koni, trzaskał z bicza, zajeżdżając na dziedziniec przed okazały dwór w Zielonej, gdy matka i siostry z krzykiem rzuciły mu się na szyję, prawie żal uczuł do nich, że go z tych rozkosznych marzeń i jasności wyrwały i sprowadziły na ziemię. Zielona należała do rzędu najpiękniejszych i najlepiej urządzonych majątków w kraju, a gdyby poprzednio jej właściciel, ojciec Rafała, był równie dobrym administratorem, jak gospodarzem, niezawodnie żonie i dzieciom pozostawiłby majątek w kwitującym stanie i sporą ilość gotówki.

Tak nie było jednak. Śmierć naczelnika rodziny Rajewskich była prawdziwą dla niej klęską. Odłużony majątek ratować trzeba było wszelkimi siłami; inaczej groziła nędza...

Matka Rafała, która w ogóle, jak prawie wszystkie kobiety nasze, posiadała więcej od męża praktycznego zmysłu i przezorności, na barki swoje wzięła ten wielki ciężar ratunku.

W pierwszym już zaraz roku po jego śmierci zamknęła swoje salony, a oddała się dzieciom, ich wychowaniu i gospodarstwu.

Pracując od świtu do zmroku, w paru latach następnych zdołała zapłacić najgłówniejsze długi, tak iż Rafał, obejmując dziedzictwo, miał już w połowie drogę do dalszej pracy przygotowaną. Już ten jeden fakt wystarczył za charakterystykę osoby matki Rafała. Dla dzieci żyła tylko, ubóstwiała je prawie: można więc zrozumieć łatwo, jak gorąco, jak namiętnie witała swojego syna jedynaka, na którym spoczywała cała przyszłość rodziny.

Wyrwała przybyłego szybko z objęć siostrzanych, poprowadziła do swego budoaru, i tam, posadziwszy go na małym stołeczku u nóg, zaczęła słuchać spowiedzi młodego orłęcia.

Rafał otwierał też duszę i serce przed matką ze spokojem całym, z ufnością nieograniczoną, nie pomijając ani jednego szczegółu z tych, które tyczyły się jego życia od chwili ostatniego z nią widzenia.

Z równą tedy gorączką, jak marzył, opowiadał jej dzieje z pobytu w szkole, a ona słuchała tego wszystkiego i podzielała nawet ten zachwyt, z jakim młodzieniec wyrażał się o swojej przyszłości i roztaczał zamiary swe na jutro.

Chwilową chmurką tylko pokryło się jej czoło, gdy Rafał opowiadał swoje pożegnanie z Jadzią i tłumaczył ten żal wielki, z jakim opuszczał miejsce swego siedmioletniego pobytu.

Chmurka ta jednak szybko zbiegła, gdy p. Klaudya z ust Rafała o wiele więcej entuzjastyczne usłyszała frazesy przy opowiadaniu o marzeniach, jakie mu się w czasie drogi nasuwały, aniżeli te, jakie dobiegły jej uszu o pożegnaniu z Jadzią.

Długa to była spowiedź i skończyła się dopiero pod wieczór, i to nasutek silnych ataków ze strony Anielki i Józia, które także dosyć energicznie o swoje siostrzane domagały się prawa. Nadzieja domu Rajewskich jednak jakimś już innym okiem spoglądał dziś na ściany domu, którego odtąd miał być podporą główną. Stał się poważnym, smutnym nieledwie, z siostrami nie żartował, jak dawniej, choć im się pilnie przypatrywał i choć je pilnie śledził; zauważył, że Anielka jest nadto roztrzepaną, a Józia ma zaniedbany układ towarzyski, co wielką przykrość sprawiło dziewczętom, zakochanym tak dobrze w braciszku, jak matka,

Przy kolacyi Rafał spotkał jeszcze jedną osobistość, której fiziognomia była mu zupełnie obcą.

— Major Furgencki, zawołała matka, prezentując mu nieznaną osobistość.

Już sama powierzchowność tego człowieka zwracała na niego uwagę.

Twarz wykrzywiona, nie tyle uśmiechem, ile bliznami, które skoszlawiwszy mięśnie, nadawały obliczu wyraz oryginalny, monstrualnie brzydki nawet. Pomimo tej brzydoty biło z niego coś jasnego, coś co pociągało ku sobie. Oczy bystre, latające szybko, czoło wyniosłe—nadawały majorowi wyraz wielkiej energii i pozwalały przypuszczać niepospolity spryt w tym człowieku. Mówił szybko, frazesami urywanymi, które z przyczyny przeciętych ust seplenił nawet czasem, a mimo tego wszystkiego słuchało go się z przyjemnością.

Postać ta od pierwszego wejrzenia zainteresowała Rafała.

Kolacya przeszła jednak w milczeniu i dopiero herbata rozwiązała usta, tak majorowi, jak i całej rodzinie.

Rafał formalnie był zasypywany pytaniami, na które z roztargnieniem odpowiadał. Dopiero gdy major zwrócił się ku niemu i zaczął pytać o stosunki miasta, w którym przebywał, o młodzież, z którą się razem uczył, ich aspiracje, nadzieje, marzenia, Rafał ożywił się, rozpalil i jał tłumaczyć gościowi wszystko, co i jemu i jego towarzyszom leżało na sercu.

Major przybywał tylko-co z Paryża, a więc posiadał najświeższe wiadomości o tem wszystkim, co dzieje się w Europie. Na fantazyi mu nie zbywało: przeto, wywzajemniając się Rajewskiemu, z gorączką demagoga jał mu tłumaczyć konstellacje polityczne, wielkie metternichowskie plany; a że rzeczy takich jednym zamachem wypowiedzieć było niepodobna i że p. Rajewska nawoływała panią do spoczynku, przeto major zaproponował dalszy ciąg pogawędki w przygotowanym dlań pokoju, na co młody Rajewski chętnie się zgodził.

Rozmowa trwała do dnia białego; z jednej strony schodzący już z pola starzec, z drugiej młody entuzyasta znaleźli jednak punkt styczny, na którym porozumieli się w zupełności. I jeden i drugi nie zmrzyli oka, a przecież gdy nazajutrz na odgłos dzwonka znaleźli się przy śniadaniu, niewczasu na ich twarzach znać nie było; przeciwnie, z oczów im były dziwne blaski, twarze nosiły na sobie wyraz energii tej szlachetnej, która zwyciężać musi.

Major był zwolennikiem nowych demokratycznych prądów; starczyło mu jednej nocy na to, aby uczynić z Rajewskiego najnamiętniejszego swojego stronnika.

Gdy opylony kurzem Szydlik wchodził w bramę dziedzińca piechotą pierwszy Rafał, ujrawszy go, całym pędem na przywitanie przyjaciela poskoczył. Na szyję mu się rzucił i jał mu opowiadać nowo nabyte teorye.

Szydlik entuzjastycznego paplania przyjaciela słuchał z pewną obojętnością, a gdy Rajewski, szarpiąc go za ramię, natarczywie pytać zaczął, co myśli o tem—odparł:

— Marzenia, znowu marzenia, gdy nam pracy twardej a ciężkiej potrzeba. Ten lud—mówił dalej—z którego chcecie mieć narzędzie swoich celów, jest większością narodu. Jako siła mięśniowa przedstawia on stokroć większą wartość, aniżeli my ją reprezentujemy, tylko, że on nam tej siły swojej nie da, bo wam nie wierzy. Nie ukloni się on waszym bogom, bo ich nie uznaje. A jeżeli mi się o to pytasz: gdzie ratunek, środki?—to ci na to odpowiem, że widzę jeden tylko, w tej małej książeczce, którą w tobołku noszę... w elementarzu. Ciemności dla nieprzyzwyczajonych do światła oczu rozpraszać trzeba powoli, maleńkimi promieniami tylko, bo słońce może oslepić odrazu i wstręt ku sobie wywołać.

— To znaczy: rozkładasz pracę na wieki.

— Tak, jako pokutę za wieki błędów i grzechów ciężkich.—Właśnie Rajewski z Szydlikiem dochodzili do ganka, gdzie nowego gościa również z otwartymi przyjęto rękoma.

Antoni Szydlik dobrze tutaj był znany oddawien-dawna. Na każde święta i wakacje, jadąc do swoich, zatrzymywał się tutaj, a po paru

dniach spędzonych mile, wyruszał dalej do swojej rodzinnej wioski i chaty, w góry, gdzie go przyjmowano, nie z takim wykwintem jak w Zielonej, ale niezawodnie takim samym gorącym sercem i gorącymi uściskami. W Zielonej cieszył się specjalnymi łaskami p. Rajewskiej i Anielki. O tej ostatniej pamiętał zawsze przy wyjeździe z miasta jeszcze wtedy, gdy była maleńką dziewczynką, lalki i cacka na święta i wakacje jej ztamtąd przywoził, podczas gościny najczęściej się z nią bawił, historyjki jej opowiadał i widocznie Ignął do niej.

Tak Anielka, jak i Szydlik, nie opatrzyli się, jak lata mijają szybko; jak mała dziewczynka wyrosła co raz więcej; jak młody student coraz bardziej dojrzywał.

W ostatnim roku swoich gimnazyalnych studiów Szydlik nie opuszczał Tarnowa, a więc nie odwiedzał i Zielonej; tymczasem Anielka zaczęła rok szesnasty, i młodzieniec, który przy ostatnich odwiedzinach jeszcze widział w niej dziecko, teraz szeroko oczy roztworzył, gdy przed nim stanęła z wyciągniętą dłonią, i z temisamemi wprawdzie co dawniej rysami, ale już dorosła i pięknie rozwinięta.

Narazie nie mógł sobie zdać sprawy z tej gwałtownej zmiany i tak się nią zmieszał, iż języka w gębie zapomniał; pierwsze powitanie z dawną swoją znajomą zaznaczył silnym gorącym rumieńcem, który nadzwyczaj szybko wybiegł na jego twarz i szybko z niej uciekł.

— No, cóż? nie poznajesz mnie pan, prawda?—zawołało dziewczę.

— Tak pani wyrosła...

— „I tak pani dojrzała“, niech pan doda. O, wszystkie figle wywietrzały mi z głowy. Jestem obecnie taka poważna osoba, że ani się pan tego spodziewać możesz. No, no, proszę zjedz pan śniadanie, zaczniemy z sobą dysputować; zobaczymy, czy mię pan tak łatwo przekonasz, jak to działo się dawniej?... Ciekawą jestem: coś mi pan też teraz za goścince przyniósł? Lalki pańskie do dziś dnia spoczywają jeszcze poukładane starannie, jako miła pamiątka lat dawnych.

Przypomnienie to Szydlik przyjął nowym rumieńcem. Zmieszało ono go znów bardzo i dopiero słowa p. Rajewskiej z zakłopotania go wyprowadziły.

— Siadaj pan tutaj, przy mnie—zawołała matka Rafała—rok cały nie oglądałam pana. Wysłuchałam już spowiedzi mego urwisa, spodziewam się, że i od pana ją usłyszę.

Posłuszny temu wezwaniu, Szydlik przy pani Rajewskiej usiadł i począł dopowiadać to, czego Rafał mówić nie umiał lub nie chciał. W końcu, naturalnie, przyszła kolej i na spowiedź własnych marzeń syna chaty kurnej. Rafał słuchał tej rozmowy z matką tylko z początku, lecz po spożyciu śniadania major ujął go pod ramię i do ogrodu wyprowadził. Niebawem i panią Rajewską zawezwał nagle jakiś gospodarski obowiązek. W pokoju pozostał sam Szydlik z Anielką i niedoroślą jeszcze Józia.

— A no—ozwała się pierwsza—nie traćmyż czasu: powietrze piękne, pan spragniony go pewnie jesteś po całorocznym duszeniu się w murach miejskich, tęsknisz niezawodnie do tych woni sosnowych...

(Dalszy ciąg nastąpi)

KOSSOWO.

(Z powodu pięćsetnej rocznicy bitwy na Kosso-wem Polu, d. 27 Czerwca 1389 r.)

Dzień bitwy kosowskiej był ostatnim dniem wolności Serbów. Po świetnych czasach Nemanidów pozostało wspomnienie tylko. A były to, zaiste, świetne dla Serbii czasy. Jak w Polsce

Piastowie, tak tu dynastia Nemaniów skupiła w jedną całość rozzerwane maluczkie części kraju, wzmocniła organizm państwowy i postawiła naród na szczycie potęgi, której ostatnim wyrazem był Stefan VI Duszan. Podczas blisko dwudziestoletnich rządów swoich (1336 — 1355) władca ten rozszerzył znacznie granice państwa przez przyłączenie Bułgarii i wywierał wpływ niemal na ościenną Macedonię, Albanię, Tessalię, a nawet na potężne niegdyś Bizancyum. Zamierzaniem jego było opanowanie całym Półwyspem Bałkańskim i utworzenie jednej potężnej monarchii; śmierć nie dozwoliła mu zdobyć Konstantynopola i osiąść na tronie cesarskim.

Czem dla Polski był Bolesław Chrobry, tem dla Serbii Stefan VI. Po jego śmierci państwo poczęło rozpadać się na osobne naturalne części, z których było złożone. Jak po śmierci Alexandra Macedońskiego, Karola Wielkiego, Bolesława Chrobrego składowe części ogromnych monarchii, utrzymywane razem tylko olbrzymią siłą genialnych ludzi, do pierwotnego wracają stanu,—tak po śmierci Duszana, za panowania syna jego Urosa V-go wpływ Serbii na południowe krańce półwyspu ustaje, Węgrzy odrywają Bośnię, a namiestnicy oddzielnych części państwa toczą walkę z sobą i z królem; jeden z nich, Wukaszyn imieniem, zabija Urosa, ostatniego z dynastii Nemaniów, i sam osiada na tronie. Atoli wrócić dawnej świetności państwu już nie zdołał; szybko chyliło się ono do upadku. Dziwna rzecz: w zbiorze praw (*Zakonnik*), wydanych przez sławnego Stefana, Serbia ukazuje się nam jako państwo zdrowe, jędrne, młodzieńcze niemal, nie dotknięte żadną napozór chorobą śmiertelną; nikt wczesnego jej zgonu nie mógłby się domyślić. A jednak ta choroba musiała istnieć; w najświetniejszych chwilach rozwoju państw baczne oko dostrzeże już zaród rozkładu; najważniejszą z przyczyn upadku państwa był brak zdolności politycznych narodu i ciągle rozterki wewnętrzne—choroba właściwa wszystkim bez wyjątku Słowianom. Wielcy mężowie, jak np. Stefan VI Duszan, byli jednostkami tylko, z których śmiercią kończyła się wielka robota, a jej owoce ginęły wkrótce marnie. Od czasu wstąpienia na tron Wukaszyna rozpoczyna się widoczny rozkład; naród coraz bardziej traci poczucie godności własnej i w ciągłych kłótniach niezdolny oprzeć się nawale Turków, którzy już poraz pierwszy za czasów Duszana weszli do Europy, przez Cesarzów Bizantyńskich sprowadzeni na pomoc przeciw wielkiemu bohaterowi Serbii. Wukaszyn ginie w bitwie z nimi nad Marycą, a syn jego, ów sławiony w pieśniach ludowych Marko królewicz, przyznaje nad sobą ich władzę i składa hołd, jako lennik. Wkrótce potem pomiędzy kilku kłócących się o tron serbski despotów, zostaje królem Łazar, ostatni władca Serbii. Oprzeć się Turkom było już niepodobna; do stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi bytu przyjsć musiało prędzej lub później. Stało się to na Polach Kosowskich, 27 Czerwca 1389 r. Tu zetknęły się oba narody: jeden bronił przeszłości i praw swoich, drugi walczył o przyszłość; jeden, stargawszy już siły, wierzył lekkomyślnie w samego siebie—drugi, sił pełny, wierzył w gwiazdę proroka i przeznaczenia swoje. Krzyż i półkrzyż stanęły naprzeciw siebie. Owiele liczniejsi Serbowie, ufni w zwycięstwo, spędzili noc przed bitwą na uczcie i kłótniach, znacznie mniej liczni Muzułmanie, modląc się przez noc całą, wzywali pomocy proroka.

Zwycięstwo przechyliło się na stronę Mahometan; sam Łazar dostał się do niewoli. Mówią, że gdy sułtan Murad, już jako zwycięzca oglądał pole bitwy, zbliżył się do niego zięć Łazara Miłosz Obilicz i zmienacką przeszłą sułtana sztyłem, za co był natychmiast porąbany na części, a król Łazar i wszyscy znakomitsi mężowie ścięci w oczach konającego Murada. Kossowo było ostatniem bohaterstwem Serbów, na największy swój wyraz znalazło w postępkach Obilicza (opiewanego potem w pieśniach ludowych). Co przedniejszych ludzi wymordowano, a własny syn Łazara Stefan kornie schyla krok przed Bajazetem, następcą Murada i własną siostrę oddaje mu za żonę. W upodleniu starają się Serbowie niktzemem pochlebstwem zyskać względy sułtana i życie ocalić;

umrzeć godnie już nikt nie umiał. To właśnie jest najlepszym dowodem ich duchowego rozkładu podówczas.

Gdy Turcy posunęli się dalej, zadrżała Europa; Papież ogłosił krucyatę, ale nikt nie śmiał stawić czoła groźnej potęgde Osmanów, jeno Władysław Warneńczyk poszedł i zginął. Serbowie zaciągają się pod sztandary tureckie i pomagają chwycić uciekających zpod Warny Chryścijan zwyciężonych. Od tej chwili duch serbski, jakby się wstydząc samego siebie, cofnął się do najniższych warstw społecznych i w ciągu czterechset lat drżąc, czasem tylko głośniejszym jękiem w pieśni lub w czynach hajduków daje znać o sobie. Niewola tak długa zaprawdę ciężką była: nadżycia ze strony rządzców tureckich, najczęściej samych Serbów sturczonych pod nazwą „spahiów“, przechodzą wszelkie pojęcie: z ubogiego wieśniaka ostatni grosz wyciskano, córki i siostry uwodzono do haremów. Lud musiał cierpieć bez żadnego protestu. W tem upokorzeniu żył bardziej przeszłością, niż terażniejszością; w pieśni o dawnych bohaterach znajdował ulgę i starannie przechowywał swą wiarę i tradycją.

Na początku XIX w. nieustannie gwałty wywołały cały szereg rewolucji pod przewodnictwem takich mężów jak Jerzy Piotrowicz, zwany Jerzym Czarnym (Kara-Dziordzie), albo Miłosz Obrenowicz, pierwszy książę Serbii wyzwolonej. Duch narodowy budzi się z uspienia; dzięki niemocy ciemiężycieli i dzięki innym okolicznościom zewnętrznym podźwigniono go i powołano do nowego życia. Czy staje on wolny od wad dawnych, zdolny żyć i rozwijać się samodzielnie? Twierdzącej odpowiedzi dać nie można.... Mówmy bez ogródek: ciemnota umysłowa, brutalstwo i brak rozwagi politycznej i wszelkich cechujących ukształcone narody ideałów—to są wybitniejsze objawy z nowego życia Serbów. Wiele, wiele jeszcze wody upłynie, nim gorzkie doświadczenie nauczy Serbów szanować przede wszystkim samych siebie. Kto wie, może jeszcze nie jedno takie będzie Kossowo!...

Kossowo! Rozkoszna dolina, mająca około dziesięciu mil długości, a około trzech szerokości, otoczona ze wszech stron górami, zowie się tem imieniem. Położona na krańcu dzisiejszej Serbii, w pobliżu Czarnej Góry z jednej strony, a Bośni z drugiej, ma grunt wielce urodzajny, stanowiący niegdyś bezwzruszenia dno wielkiego jeziora. Dziś o tem świadczą jeszcze liczne bagna i rzeczulki, z których dwie większe, tam biorąc swój początek, płyną w dwóch przeciwnych sobie kierunkach. Natura hojnie uposażyła tę miejscowość: wszędzie wysoka i bujna porasta trawa, na stokach gór kwitną dziwnej piękności róże południowe i cicho drżącą wyniosłą jawory; wszystko wokoło żyje pełnem życiem spokojnie i wesoło i niktby się nie domyślał, jak straszny przed wiekami rozegrał się tu dramat. Dziwne prawo natury: na wszystkich grobach, nawet na grobach wolności, bujnie zakwita nowe życie.

J. Nitowski.

Kronika działalności kobiecej.

— Na warszawski jarmark wełniany nadeszło z gospodarstw prowadzonych przez kobiety partyi wełny siedmnaście, a mianowicie: Borzewska z Młodzieszyńska 145 pud., ks. Czertwetyńska z Borkowic 90 p., Dąbrowska Weronika z Kuflewa 188 p. 20 funt., Gąsowska z Miastkowa 168 p. 11 funt., Gerlachowa Sylwina z Sobol 30 p., Grabowska Pelagia z Luszewa 68 p., Hussarzewska Tekla z Woli Rębkowskiej 25 p., Jaźwińska Kamilla z Rudzienka 70 p. 20 funt., Klimkiewiczowa Józefa z Bielic 117 p. 37 ft., Korzybska Gabriela z Wilczyc 67 p. 20 ft., Lasocka Natalia z Czerniewa 40 p., Łojewska Olimpia z Woli Pogorzowskiej 32 p. 30 ft., Mieszkowska z Kozłowa

45 p. 32 ft. hr. Ostrowska Ludwika z Miedzny 101 p. 16 ft. hr. Ożarowska Adela z Brzozy 33 p. 16 ft., Szeliska z Sufczyzna 35 p. 14 ft. Razem gospodarstwa kobiece przedstawiły na jarmark wełny w gatunkach wyższych 902 pud. 10 funt.

— Szwalnia VI dla biednych dziewcząt została otwarta d. 1 lipca w okolicach dworu kolei Warszawsko-Wiedeńskiej.

— Szkoła rzemiosł dla kobiet, p. Haliny Tokarzewskiej, otwarta w roku bieżącym przy ulicy Szkolnej nr. 8, przedstawia obszerny program nauki robót kobiecych, a to: Krój i szycie sukien według metody francuskiej. Modniarstwo, w którego zakres wchodzi obok ubierania kapeluszy i wyrób form do takowych, fryzowanie piór, wyrób ozdób z dżetu. Krój i szycie białej bielizny, haft biały, haft złotem oraz kolorowy jedwabiami w zastosowaniu do ubrań, oraz mebli i aparatów kościelnych. Wyrób krawatów. Tkactwo ręczne: dywanów smyrneńskich i rozmaitych przedmiotów z wełny, włóczki angorowej i szneli. Koszykarstwo.

Za podstawę do nauki rzemiosł artystycznych uważa szkoła rysunek, którego też uczą. Z rzemiosł wspomnianych uczennice uczą się: malowania na matery, naśladowującego gobeliny (farbami olejnymi) malowania na aksamicie, atlasie, drzewie, szkłe, porcelanie i zwierciadłach. Kolorowanie fotografii farbami wodnymi i olejno, wypalanie na drzewie i skórze, wyroby z barbotiny i terrakoty — do czego wszystkiego uczennice otrzymują wzory bezpłatnie. Od Wielkiejnocy rozpoczęła się w szkole nauka bardzo ważnej gałęzi pracy kobiecej: gospodarstwa domowego, w którego zakres wchodzi i gotowanie. Tego uczy się panien trzy; ponieważ obznajmienie się z umiejętnem zaopatrywaniem spiżarni w przedmioty na kuchnię potrzebne, stanowi niepośledni dział miejskiej gospodarstwa kobiety i łączy się ściśle z nauką gotowania, więc uczennice chodzą parę razy tygodniowo na targ w towarzystwie odpowiednio uzdolnionej osoby, która uczy je praktycznie, jak odróżniać towar zły od dobrego. Następnie pod kierunkiem tejsamej osoby, dobrej kucharki, przyrządzają obiady: kolejno wykwinniejsze i skromniejsze, przyczem położony jest nacisk, aby jedne i drugie ładnie, elegancko podane być mogły. Obok nauki gotowania prowadzi się tu i nauka pieczenia ciast, pierników, robienia konserw owocowych: soków, kompotów, konfitur.

— Dwie nowe szkoły rzemiosł dla kobiet, pp. Kowalewskiej i Wojewodzkiej, otrzymały prawo istnienia z programem nauki: szycia i kroju bielizny, oraz sukien, strojenia kapeluszy, wyrobu koronek, haftów, malowania na porcelanie, drzewie i matery; koszykarstwa, tokarstwa, introligatorstwa, szewstwa, rękawicznictwa, pończoznictwa, wyrobów ze skóry, z terrakoty, kwaciarstwa, robienia krawatów. Opłata miesięczna jest: w zakładzie p. Kowalewskiej od 6 — 10 rs. za wszystkie przedmioty; w zakładzie p. Wojewodzkiej po rs. 5 od każdego przedmiotu.

— W zakładzie, malowania hr. Maryi Łubieńskiej pod nazwą Ś-go Łukasza wykonano pięć okien kościelnych; trzy z wizerunkami: Ś-go Kazimierza, Ś-go Stanisława i Matki Boskiej, zamówiła hr. Gustawowa Zyberg Plater do nowozbudowanego kościoła we wsi Grzywee pod Dynaburgiem. Dwa inne, z wizerunkami Ś-go Mikołaja i Matki Boskiej Różańcowej, zakupił p. Mikołaj Glinka dla kościoła w Goworowie w okolicach łomżyńskich. Wykończa się okno dużych rozmiarów, ofiarowane przez senatorową Karnicką dla kościoła w Lanckoronie pod Witebskiem. Ornamentacya okien bogata, u dołu herby fundatorów; publiczność warszawska oglądać je będzie mogła wkrótce w Salonie Artystycznym spółki malarzy i rzeźbiarzy.

— Krakowskie Stowarzyszenie Nauczycielek ogłosiło drukiem sprawozdanie wydziału i wykaz obrotu funduszów na ubiegły rok 1888. Wydział w zarządzie swoim składał się z osób czterech: p. Antoniny Żubrzyckiej prezesowej, p. Joanny Pogonowskiej vice-prezesowej, p. Daniela Mikięwiczówny sekretarki, p. Henryka Müldnera skarbnika. Członków wydziału było 7: pp. Seweryna Górka, Karolina Krynicka, Julian Maciołowski, Helena Pawlikowska, Mieczysława Śleczkowska,

Piotr Umiński, Ignacy Żółkowski. Wydział odbył posiedzeń dwanaście, na których zajmował się sprawami: zawiadywania funduszami i ich lokatą, przyjmowania członków, rozpatrywania podań; udzielał zapomóg i pożyczek; zajmował się biurem umieszczania nauczycielek, którego kierownictwo powierzył p. Anieli Dembowskiej; zawiadywał wypożyczalnią książek dla kandydatek nauczycielskich, przystępujących do egzaminów; zawiadywał biblioteką i zajmował się jej rozwojem. *Stowarzyszenie Nauczycielek* liczyło z końcem 1888 r. członków 448, ze zaś w końcu 1887 było ich 411, zatem przybyło w ciągu roku członków 37.

Fundusz żelazny Stowarzyszenia jest 8.300 zł. reńskich. Dochodu miało Stowarzyszenie 2.491 zł. reń., rozchodu 1.509 zł. reń., zatem dochód czysty wynosi 654 zł. reń. Umieszczony w kasie oszczędności, przekazany został do dyspozycji Wydziałowi z 1889 r.

Biblioteka Stowarzyszenia, mieszcząca się we własnym lokalu przy ulicy Ś-go Tomasza, otwarta jest codziennie z wyjątkiem Niedzieli i świąt od godziny 11 do 12 przed południem i od 5 do 7 wieczorem. Dochodu miała Biblioteka w roku ubiegłym 708 zł. reń., rozchodu 577, pozostało na rzecz kasy 1889 roku 141 zł. reń. Biblioteka posiada dzieł 1.624, tomów: 2.220. W. Helena Pawlikowska oddała do użytku zarządu dzieł 340 Stowarzyszenie posiadało dzieł własnych 635, zakupiono w 1888 r. dzieł 78, otrzymano w darze 571. Wypożyczalnia książek dla kandydatek do stanu nauczycielskiego została włączoną do Biblioteki.

Biblioteka posiada członków 54; majątku, do którego nie wlicza się wartość książek, bibliotekę składających, ma 13.396 zł. reń. Ze zaś w końcu 1887 r. majątek ten wynosił tylko 12.868 zł. reń. zatem w roku sprawodawczym powiększyło się mienie Biblioteki o 528 zł. reń.

Kommissya Biblioteki, odbyła w ciągu ubiegłego roku posiedzeń 11. Wydział składają: pp. Zelenka Wanda, przewodnicząca; Sleszkowska Mieczysława, zastępczyni przewodniczącej; Mikiewiczówna Daniela, bibliotekarka. Członkowie: pp. Pawlikowska Helena, Pogonowska Joanna, Witowska Teresa, Zakrzewska Anna, Lutostańska Paulina, Oczapowska Eugenia. W ubiegłym 1888 roku korzystało z biblioteki osób 130; obrót wykazywał 2.220 dzieł przeczytanych. Dary w książkach, czasopismach i nutach nadesłało osób 59.

— W Krakowie na ostatnim zebraniu dorocznym Towarzystwa Oświaty Ludowej liczba członków kobiet okazała się o tyle znaczną, że panie te zawiązały osobną sekcją kobiecą celem czynnego popierania działań Towarzystwa.

— Na paryskiej dorocznej wystawie sztuk pięknych (Salon) przyznano kobietom trzy medale. Otrzymały je: M-elle Georgette Sulpia, M-me Cordonar, M-me Eugenie Tisselsteg. Wzmiankę zaszczytną otrzymała Paulina Matra.

— W paryskiej Szkole Prawa (Ecole de Droit) pierwszą nagrodę zyskała kobieta: M-elle Chauvin.

— Patriotyczne stowarzyszenie kobiet francuzkich: *Union des Femmes de France*, którego honorową prezydentką jest prezydentowa Carnot a rzeczywistą zasłużona i od czasów wojny francuzko pruskiej całemu krajowi znana Alzatka: M-me Koechlin-Schwartz, odbyło doroczne zebranie swoje w Paryżu. Wykazano na niem, że zgromadzenie liczy 21.000 członków i posiada na przypadek wojny urządzenia na kilkanaście lazaretów. Łóżek z pościelą jest gotowych 6.000. Wszystko to w przeciągu dni kilku może być zmobilizowane—dostawione walczącej armii. Po-

dobną czynność rozwija drugie stowarzyszenie francuzkie, mające takiż cel przed oczyma: *Société de Secours pour les Blessés Militaires*. Viceprezydentkami, to jest naczelniczkami czynnymi siedmiu jego oddziałów, są: marszałkowa Canrobert, marszałkowa Le Boeuf, marszałkowa Péliquier, księżna Magenta, marsz. hrabina Niel, marsz. Regnault de Saint Jean d'Angely.

— Tablica pamiątkowa zostanie umieszczoną w Paryżu na domu, który zamieszkiwała szlachetna towarzyska Żyryndystów, M-me Roland. Dom ten, na Place Dauphine Nr 28, jest obecnie zajęty na dobroczynną instytucją opieki nad kobietami wypuszczonymi z więzienia: „Oeuvre des Libérées de Saint Lazare.“ Przełożoną jest tu znana filantropka, M-me Bogelot. Mury te, z których szalony motłoch posłał na gilotynę istotę czystą i piękną, stały się miłosierną uchroną przestępczyni.

LISTA NAGRÓD Na Wystawie Pracy Kobiet.

(Dokończenie)

DZIAŁ V.

Podziękowanie: Mańkowska, ze wsi Klembówka, w guberni Podolskiej, za przedstawione okazy.

Medale brązowe: Czerniawska Antonina, ze wsi Dukaty w gub. Kowieńskiej, p. N. A., za całość, a w szczególności za czerkas i płótno; Hajdukowa Wincentowa, ze wsi Dukaty w guberni Kowieńskiej, p. N. A., za całość, a w szczególności za ładny czerkas i kurzel w kraty; Brzezińska Aniela ze wsi Dukaty w guberni Kowieńskiej, p. N. A., za ręczniki ze szlakami haftowanymi; Kiełpsz Józefa, z gub. Kowieńskiej, p. N. A., za całość, w szczególności za korty wełniane, Małumuczka Marta, ze wsi Klembówka w gub. Podolskiej, za hafty srebrem i złotem na płótnie.

Listy pochwalne: Czerniawska Janowa, ze wsi Dukaty, w gub. Kowieńskiej, za całość okazów; Oponowiczowa Józefa, ze wsi Wyszokowszczyzna, w gub. Kowieńskiej, za lniane wyroby; Tołocz-kowa Andrzejowa, z gub. Kowieńskiej za czerkasy; Szyksznianowa z Jezioryszek, w gub. Kowieńskiej, za kapy, obrus i nawleczkę; Werdengowska Sylwestrowa z gub. Kowieńskiej, za czerkasy; Mełmuczka Ulana, ze wsi Klembówka, w gub. Podolskiej za haft srebrem na płótnie; Alexandrowa Aftynia, ze wsi Klembówka, w gub. Podolskiej, za haft srebrem na płótnie; Wynygdycha Jaryna, ze wsi Klembówka, w gub. Podolskiej, za haft srebrem na płótnie; Lukierka, ze wsi Klembówka, w gub. Podolskiej za haft srebrem na płótnie; Prociuszka Pałaszka, ze wsi Mizocz, w gub. Wołoskiej, za całość, w szczególności za namitkę i próbki sukna; włościanki ze wsi Janiszówka, w guberni Kijowskiej, w powiecie Taraszczańskim, za trzy dywany odznaczające się wyrobem i dokładnością; włościanki ze wsi Sewerynowka w gub. Kijowskiej, pow. Taraszczańskim, za mankiety i kołnierz do męskiej koszuli; włościanka ze wsi Ułaszówka, w guberni Kiowskiej, w powiecie Taraszczańskim, za ręczniki; włościanka ze wsi Krzywice, w gub. Kijowskiej, w pow. Taraszczańskim, za ręczniki; włościanki ze wsi Beudka w gub. Kijowskiej, w pow. Taraszczańskim, za koszule i ręczniki do podpinania obrazów; Zalewska Zofia, ze wsi Kurtowia-

ny, w gub. Kowieńskiej, za czerkas; Petruniolo-wa Zofia, ze wsi Kurtowiany, w gub. Kowieńskiej, za chustkę; Karwacka Katarzyna, ze wsi Karapaczyjówka, w gub. Podolskiej, za szal haftowany; Uryłkowa Marya, z gub. Podolskiej, za klimy.

Nagrody pieniężne: Wojciechowska Alexandra z gub. Grodzieńskiej, za dywan w kraty szkockie rs. 6; Wojcieszyn Anna z Berezówki, w gub. Podolskiej, za pas haftowany na płótnie rs. 5.

Nagrody w przedmiotach: Szyksztaniówna Agata z gub. Kowieńskiej, za płótno, przedmiot wartości rs. 6; Werdengowska Justynowa z guberni Kowieńskiej, za czerkas zielony, przedmiot wartości rs. 5; Sadowska Jadwiga z gub. Grodzieńskiej, za równą wełnę, przedm. wart. rs. 5; Kapitułowa Marya z guberni Wołyńskiej, za płótno i kilimek, przedmiot wart. rs. 5; Paraszka Wasyla z gub. Podolskiej, za kilim i płótno, przedm. wart. rs. 3; Muatka Kuchara Marynka z gub. Podol., za kilim, przedmiot wartości rs. 5.

Podziękowanie od komitetu Muzeum: Wanda Butowtt-Andrzejkowieczówna z gub. Grodzieńskiej, za zebranie 19 przedmiotów; Jeleńska Paulina z gub. Wileńskiej, za zebranie klimków; Poletyłło hr. Jadwiga, ze wsi Berezówka w gub. Podol., za wystawione 3 pasy; Grabowski Ewa z gub. Podol., za dywanik; Zalewska Marya, ze wsi Klembówka w gub. Podolskiej, za dywan; Karwicka-Dunin Jadwiga z gub. Wołyńskiej, za zebranie przedmiotów; Potocka hr. Augustowa z gub. Kijowskiej, z pow. Humańskiego, za wyszyte koszulki; Szczuka Marya z gub. Kijowskiej, za ręczniki i koszule haftowane; Zyberg-Plater hr. Teresa z gub. Kowieńskiej, za zebranie okazów; Baraniecki Maryan, z gub. Podolskiej.

W DZIALE VI.

Medal srebrny wielki: Sigalina Klaudya za dobroć, stwierdzoną analizą chemiczną i licznymi świadectwami, wystawionego kefru.

Medale srebrne: Pułjanowska Justyna, za wyborowe szynki i inne wędliny, wyrabiane na sprzedaż; Cwierzakiewiczowa Lucyna, za ogół starań w gospodarstwie kobiecym domowym; Twarowska Józefa, za różnorodność doskonałych nalewek; Mierzejewska Bronisława za sery, wędliny i nalewki wyrabiane na sprzedaż po przystępnych cenach.

Medale brązowe: Sigalina Berta za dobry wyrób kumysu; Szumlańska Paulina, za dobroć nalewek i działalność w kierunku gospodarstwa domowego; Wolańska z Lublina za szynkę.

Listy pochwalne: Witkowska Franciszka za korniszony i pikle; hr. Plater z Pługów za sery; Dobiecka Jadwiga z Radzinkowa za sery.

Podziękowanie komitetu Muzeum: Bauerfeindowa Paulina, za przyjęcie udziału w wystawie, przez wystawienie różnorodnych okazów spożywczych własnej fabrykacji; Gabryelowa Helena za przedstawione dwie flaszki dobrych nalewek.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 13-ty powieści pod tytułem **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona.

Arkusz 1-szy **Dzień Ś-go Mikołaja**, przez A. Theuriet, przekład z francuzkiego M. Gorajskiej.

TREŚĆ: Pogawędka. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka, skreślił M. Dubiecki. — Wystawa pracy kobiecej, przez M. Ilnicką. — Błędna Ścieżka. Szkic powieściowy, M. Wołowski. — Kossowo przez Nitowskiego. — Kronika działalności kobiecej. — Lista nagród na Wystawie Pracy Kobiet.

Dodatek obejmuje: Arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Alicya O'Brien**, przez Skeffingtona Thompsona. — Przegląd mód. — 23 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**